



Kryminał z myszką

74

Trzeci gang

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

TRZECI GANG

Kryminał z myszką – Tom 74

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-08-2

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1978

Rozdział 1

Kierowca zwolnił i przez potoki deszczu, zalewające świat, usiłował dojrzeć numery mijanych domów. Każdy z nich oddzielony był od ulicy długim pasmem ogrodu, a tej kwietniowej nocy, ulewnej i wietrznej, wszystkie wydawały się jednakowe, Wreszcie zahamował.

– To tu? – spytała dziewczyna, wyciągając portfel z torebki.

– Aleja Króla dwadzieścia osiem. Tak miało być?

– Dziękuję. – Była mu wdzięczna, że w ogóle zgodził się na jazdę, kawał drogi od śródmieścia i zupełnie pustkowie, tak jej się przynajmniej wydawało, nie знаła tej części Warszawy. – Ile płacę?

– Trzydzieści cztery.

Dala pięćdziesiątkę, nie czekając na resztę, kto wie, czy znajdzie pasażera o dziesiątej wieczór w taki deszcz. Wysiadła, przez chwilę mocowała się z oporną parasolką, pod pachą miała dużą teczkę, na ramieniu wisiała torebka.

Cholera – burknęła, kiedy strużki wody polały jej się za kołnierz. Wreszcie parasolka otworzyła się. Kierowca złamał chorągiewkę taksomierza, rozejrzał się dokoła, czy ktoś nie biegnie w jego stronę, ale na szerokich chodnikach i na jezdni nie dostrzegł nikogo, ruszył wolno, w nadziei, że jednak może po drodze... Nie lubił pustych kursów.

Dziewczyna stanęła przed furtką, szukając dzwonka, nie znalazła go, więc lekko pchnęła drzwiczki. Były otwarte. Szła ostrożnie w kierunku domu, lękając się, czy nie wyskoczy znienacka pies! Kilka schodków, brązowe podwójne drzwi, po prawej dzwonek. Przycisnęła dwa razy, odczekała sekundę i znowu dwa sygnały. Tak było umówione. Po chwili za półkolistą szybą nad drzwiami pojaśniało, usłyszała czyjeś kroki, chrobot zamków, było ich kilka. Nie dziwiła się, w tym domu znajdował się spory majątek.

Mężczyzna, który ukazał się na progu, mógł mieć ze czterdzieści pięć lat. Twarz miał czerstwą, może trochę zbyt rumianą jak na tę porę roku, włosy zaczesane do góry, łysiejące od czoła i szpakowate, nos mięsisty o szerokich nozdrzach, ładnie wykrojone usta. Ubrany był w wełnianą bonżurkę koloru starej wątroby, obramowaną ciemniejszym jedwabiem, i spodnie z szarej flaneli.

– Pani do kogo? – spytał niewyraźnie, w ustach miał na pół wygasłego papierosa.

– Przyjechałam od Henryka – odparła, akcentując imię.

Wypłuł niedopałek, uniósł brwi w górę.

– Jakiego Henryka?

– Od Henryka, z „Garścią wiatru”.

Roześmiał się. oparty o drzwi przyglądał się jej rozbawiony.

– Wiatru nie musiała pani przywozić od tego swego Henryka. Mamy go tutaj dość.

– Proszę pana – powiedziała ostrzej, wciąż czuła wilgoć za kołnierzem, była zmęczona – może już wystarczy, co? I tak powiedziałam za dużo. Powinien się pan domyśleć.

Spojrzał teraz na nią jakoś inaczej, ściągnął gęste brwi. Zmienił mu się również wyraz twarzy, spoważniał. Wahał się jeszcze chwilę, a potem nagle rzekł:

– Proszę, niech pani wejdzie.

Zamknęła parasolkę, otrząsnęła ją z deszczu i weszła do holu. Mężczyzna pomógł jej zdjąć zmoczony płaszcz i czerwony берет. Bez przerwy czuła na sobie jego spojrzenie, uważne i nieufne. Nakazano jej, aby nie wymieniała żadnych nazwisk, żadnych adresów, prócz imienia, które było hasłem. Mimo to postanowiła się upewnić, ta wstępna rozmowa wydała się jej jakaś dziwna.

– Pan Hustecki, prawda? – spytała, patrząc mu prosto w twarz.

Lekki uśmiech pojawił się na jego wargach.

– Przyjeżdża pani i nie wie do kogo? – mruknął. – Proszę do pokoju. Wskazał ręką, dopiero wtedy zauważyła, że brakowało mu kciuka u prawej dłoni. Zdziwiła się, pracodawca nic o tym szczególnie nie wspominał. Cóż, może nie uważał tego za istotne.

Weszła do salonu czy jadalni, może było to jedno i drugie razem. Obszerny pokój zapchany był najróżniejszymi meblami, zawieszony obrazami i kinkietami, niczym sklep „Desy”, już na pierwszy rzut oka było widać, że meble były stare, cenne, dobrze utrzymane, obrazy również.

Na jednej ze ścian stał kominek, paliły się w nim elektryczne czerwone żarówki między sztucznymi polanami, wyglądało to pretensjonalnie i nie pasowało do reszty. Przed kominkiem siedziała kobieta w jedwabnych, czarnych spodniach i czerwonym swetrze patrząc na nich ze zdziwieniem. Dziewczyna pomyślała, że pewnie jest to córka pana Husteckiego, była od niego o wiele lat młodsza.

– Wando, pani przyjechała od Henryka – rzekł mężczyzna ostrym tonem. – Przywiozła coś dla nas.

Drobna, blada twarz kobiety na chwilę zastygła jakby w zdumieniu, zaraz jednak wypogodziła się. Wstała, zbliżyła się do dziewczyny z grzecznym uśmiechem.

– Dobry wieczór – powiedziała, podając jej rękę. – Wiem. mąż wspominał o pani przyjeździe. Proszę usiąść. Czego się pani napije? Kawy, herbaty? Może coś mocniejszego, bo widzę, że pani zmarzła.

– Chętnie – odparła dziewczyna. – Ale może wpierw...

Zawróciła do przedpokoju, mężczyzna wyszedł za nią, ciągle czuła, że ją obserwuje i bezwiednie spojrzała w lustro, poprawiła włosy. Zauważył to, uśmiechnął się.

– To żona? – spytała, ton jej głosu był trochę zaczepny.

– Żona – potwierdził. – Szuka pani czegoś?

– Teczki. O, jest.

– Pomogę pani.

Chwycił teczkę razem z nią, poczuła mocny uścisk palców na swojej ręce oraz zmieszany zapach papierosów i wody kolońskiej.

– Nie trzeba – odparła ze śmiechem. – Sama zaniósę.

Dostrzegła, że kobieta stoi na progu i przygląda się tej scenie, więc trochę zażenowana przeszła obok niej. położyła teczkę na najbliższym fotelu, potem kluczykiem otworzyła dwa boczne zameczki i większy, środkowy. Tamci przypatrywali się, jak wyjmuje niewielki rulon owinięty starannie w karton i papier.

Wprawnym ruchem rozwinęła opakowanie.

– To jest właśnie ten obraz – powiedziała z pewną dumą w głosie – Henryk miał sporo kłopotów, zanim udało mu się go zdobyć dla państwa.

Hustecki wziął płótno, delikatnie rozpostarł w powietrzu.

– Piękna rzecz – pokręcił głową.

– Owszem – zgodziła się jego żona. – Dobra szkoła.

Obraz przedstawiał konia czystej krwi arabskiej, białego jak mleko, pędzącego przez łąkę w kierunku ciemniejącego w oddali lasu.

– „Garść wiatru” – wyjaśniła dziewczyna, którą historię obrazu знаła już na pamięć. – Tak Arabowie mówią na swoje konie. Ten przedstawia potomka rodu Saklawi, Dżahiza. Namalowany został przez francuskiego artystę Claude Perraulta. Dzieło powstało pod koniec ubiegłego wieku, dokładna data nie jest znana. Na odwrocie – wyjęła obraz z ręki Husteckiego i pokazała – jest napis, że... to znaczy, był napis, ale Henryk musiał go usunąć. Państwo rozumieją, oczywiście, dlaczego. Natomiast – znów odwróciła obraz – tutaj, w prawym dolnym rogu, widnieje podpis malarza. Cenę, rzecz jasna, państwo już znają.

– Może jednak pani nam przypomni? – rzekł Hustecki.

– Po co? – wzruszyła ramionami. – Ja przecież pieniędzy nie wezmę. Henryk sam po nie przyjedzie, jak wróci z Wiednia. Ja miałam tylko dostarczyć towar.

– Rozumiem, ale dokładna cena nie była między nami uzgodniona Henryk miał ją przekazać przez panią. Zapomniała pani? – dodał z naciskiem.

– Nie, skądże? Mówił mi, że czterysta pięćdziesiąt tysięcy.

– W porządku. To znaczy, że zgodził się na moją propozycję i opuścił o dwadzieścia tysięcy.

Wziął obraz, jeszcze raz mu się przyjrzał, potem zasłonił papierem. Wanda Hustecka nakryła tymczasem na niskim, długim stoliku, postawiła pieczywo, szynkę, kieliszki i butelkę winiaku. Siedli, dziewczyna jadła chętnie, widocznie wygłodniała w podróży, tamci markowali tylko. W pewnej chwili wymienili między sobą spojrzenia, po czym Hustecka rzekła nieco mniej serdecznie:

– Nie możemy pani, niestety, przenocować. Czy ma pani pociąg powrotny?

– Jeżeli nie, to pomogę znaleźć miejsce w hotelu – dodał jej mąż.

– Nie, dziękuję – odparła dziewczyna. – Jest pośpieszny o dwudziestą trzecią pięćdziesiąt. Chcę być jutro w Gdańsku. Tylko, czym ja dojadę na dworzec? – spojrzała zatroskana w okna, za którymi wciąż jeszcze lał deszcz, chociaż burza oddaliła się na wschód, za Wisłę.

– Ja panią odwiozę. Mam samochód. Właściwie – spojrzał na zegarek – jeżeli chce pani zdążyć, to powinniśmy za chwilę wyjechać.

– Wcale mi się nie chce – przyznała, ociężała po jedzeniu i senna. – No, ale jak trzeba, to trzeba.

Pożegnała się z Hustecką, włożyła płaszcz i beret, zabrała pustą już teczkę. Wyszli przed dom. Gospodarz wyprowadził z garażu szare Volvo i uprzejmie otworzył drzwiczki po swojej prawej stronie. Po chwili ruszyli w stronę śródmieścia.

*

W barze „Pod pieskiem”, nikt nie wiedział, dlaczego go tak nazwano, odbywało się spóźnione wesele. Ślub był rok wcześniej, ale pan młody zaraz po tej uroczystości musiał zacząć odsiadywać sześciomiesięczny wyrok, przedłużony później o nie spłaconą grzywnę.

Goście weselni składali się w połowie z tych, co niedawno opuścili więzienie, oraz takich, którzy w najbliższej perspektywie pójdą siedzieć. Teściowie młodego nie pożałowali grosza na jedzenie i picie, zwłaszcza zaś na to drugie. Ojciec dziewczyny, nad podziw trzeźwy i czujny, dbał o to, żeby przy stołach nie znaleźli się obcy, których trochę było w knajpie.

Jeden z takich nie zaproszonych wytoczył się właśnie na ulicę prosto pod nogi przechodzącego patrolu milicyjnego. Przyjrzał się plutonowemu, szeroko rozłożył ręce i zawołał na wpół z płaczem: „Mości hetmanie! Bar... wzięty!”, po czym miękko ułożył się pod ścianą, rezygnując z dalszej walki o miejsce przy stole.

– Sprowadź Nysę – mruknął plutonowy do kolegi.

Spojrzał na uchylone drzwi baru, skąd dochodziły chóralne śpiewy i niewielki łomot. Zawahał się. Interweniować? Nikt milicji nie wzywał.

– Bawią się – kaprał wzruszył ramionami. – Nie było sygnału do interwencji.

– A Nysa?

– Przyjadą.

Nagie z mroku ulicy wynurzył się jakiś mężczyzna. Był zdyszany, oddychał ciężko i wyraźnie zmierzał w stronę milicjantów. Kiedy się zbliżył, rzekł śpiesznie, wskazując ręką za siebie:

– Proszę pana!... Panowie, tam leży... Ona chyba nie żyje!

– Zaraz – plutonowy lubił jasne sytuacje. – Gdzie leży i kto nie żyje?
– Tam, na Lampowej, to taka mała ślepa uliczka na osiedlu. Kobieta. Młoda. Wcale nie oddycha. Niedaleko stąd.

– Pan zaprowadzi – powiedział milicjant stanowczym tonem.

Zostawili śpiącego pijaka, załoga Nysy da sobie z nim radę i ruszyli spieszenie razem z mężczyzną, który po drodze usiłował opowiedzieć, jak natrafił na leżącą kobietę i co o tym myśli. To drugie na razie mniej interesowało podoficera, liczyły się fakty, w milicyjnym języku – wydarzenia.

Ulica Lampowa jak na ironię oświetlona była jedną samotną latarnią, reszta ginęła w mroku. Właśnie tam, w najciemniejszym miejscu, obok wystawionych dla MPO kubłów ze śmieciami, leżała kobieta. Kapral poświecił latarką, plutonowy schylił się i przyjrzał uważnie. Dotknął ręki, wymacał puls. Bił bardzo słabo, ale bił.

– Ona jeszcze żyje – powiedział. – Wezwij radiowóz i karetkę.

Kapral uruchomił radiostację, powiadomił stanowisko dowodzenia. Jego kolega wraz z młodym mężczyzną w niebieskich dżinsach i brązowej skórzanej kurteczce, który zawiadomił o wypadku dzwignęli leżącą, plutonowy podłożył jej pod głowę szalik. Wtedy dostrzegł, że jego ręce są mokre od krwi.

Okazało się, że kobieta ma ranę z tyłu czaszki. Każde poruszenie głowy mogło pogorszyć sytuację, należało więc czekać na pogotowie. Wyprostował się, oświetlił teren dookoła. Deszcz ustał może z godzinę temu, ale płaszcz i włosy kobiety były jeszcze mocno wilgotne, widocznie leżała tutaj podczas ulewy albo też porzucono tu ciało, a napadu dokonano w innym miejscu. Nie miała torebki, w ogóle żadnych rzeczy ani dokumentów.

Tymczasem kapral pracownice wypełniał notatkę służbową, a chłopak w dżinsach odpowiadał na pytania, dotyczące nocnej wyprawy na Lampową, dokładnego czasu, w którym natknął się na leżącą kobietę, a także i tego, jak ją w tych ciemnościach zauważył. Milicjant był z natury sceptyczny, choć z usposobienia optymistą.

– Nie wiem – rzeki chłopak i zamyślił się na chwilę. – Może potknąłem się o nią? A może jęczała? Nie pamiętam.

– Trzeba pamiętać – przygadywał mu kapral. – Jada. – To ostatnie odnosiło się do radiowozu, który z wolna jechał na Lampową. Tuż za nim pojawiła się karetka. Lekarz obejrzał ranę, założył prowizoryczny opatrunek, zrobił zastrzyk, reszta należała do chirurga. Pojechali na sygnale; tej nocy ostry dyżur miał szpital na Pradze.

– Nie znam jej – powiedział chłopak, chyba po raz dziesiąty. – Szedłem od kolegi, mieszka tam – pokazał ręką na bloki z osiedla. – Jak zobaczyłem, że leży, pobiegłem szukać milicji. Spotkałem patrol koło baru „Pod pieskiem”.

– Dobrze – mruknął kapitan Kręglewski z Komendy Stołecznej MO. – Nie znaleźliście torebki? – zwrócił się do plutonowego dla porządku, wiedział, że gdyby były dokumenty, to by mu je dali.

– Nie. Nic przy mej nie było. Chyba – zastanowił się – chyba dostała nie tutaj. Przywieźli i rzucili.

– Niekoniecznie. Mogła tędy przechodzić, uderzyli ją i obrabowali. – Poświecił latarką, bo szedł ktoś chodnikiem. Schwytyany reflektorem, zatrzymał się i osłaniając ręką oczy wpatrywał się w stojących. Dostrzegł milicyjne mundury, podszedł bliżej.

– Coś się stało? – spytał ostrożnie.

– A pan kto?

– Gospodarz domu, Siedlecki Jan. Z Lampowej siedem.

– Czemu pan nie śpi?

– Spałem, ale się zbudziłem, bo dzieciak marudzi, ząbki mu wychodzą. Zobaczyłem przez okno karetkę, no i jechała na sygnale, więc wyszedłem.

– Nic pan tu przedtem nie słyszał? Jakiegoś krzyku, zatrzymującego się samochodu?
– Nie.
– Kiedy pan poszedł spać?
– Gdzieś tak... jak się serial skończył. Po dziesiątej, dwudziestej drugiej, znaczy.
– Taka młoda kobieta... – zaczął Kręglewski i urwał. Rannej już nie było, nie miał żadnego zdjęcia, a młodych kobiet mogło być na osiedlu parę tysięcy.

*

Dziewczyna żyła. Chirurg stwierdził niezbyt głębokie naruszenie kości, bardziej groźnie było długotrwałe omdlenie i upływ krwi: musiała leżeć na chodniku parę godzin. Dopiero po sześciu dniach otworzyła oczy i spojrzała przytomnie. Po dziesięciu dniach lekarz pozwolił kapitanowi Kręglewskiemu usiąść przy jej łóżku i zadać kilka pytań.

– Nazywam się Magdalena Borek – zaczęła tak cicho, że musiał pochylić się, aby dosłyszeć. – Mieszkam w Gdańsku. – Podała adres. – Proszę mi powiedzieć, co się ze mną stało.

– Znaleźliśmy panią leżącą na ulicy. Nieprzytomną, z raną na głowie. Resztę szczegółów chciałbym usłyszeć od pani.

Zbierała myśli, nerwowo zagryzając wargi.

– A torebka i teczka?

– Nie było tam torebki. Ani żadnej teczki, torby czy walizki. Czy pani przypomina sobie, po co poszła na Lampową?

– Na jaką? Gdzie to jest? – zdziwiła się.

– Ulica Lampowa. Mała, ślepa uliczka na osiedlu. Dolny Mokotów. Zna pani Warszawę?

– Trochę. Czy to gdzieś w pobliżu alei Króla?

– No, kawałek. A pani była tego wieczoru w alei Króla?

– Nie. Tak tylko przypomniało mi się. Kiedyś tam byłam.

Miał zbyt duże doświadczenie, aby w tej chwili nie zauważyć, że kłamała. Na razie pominął to milczeniem.

– Ja leżałam na tej Lampowej? Jak to się stało?

– Właśnie tego chciałbym się dowiedzieć. Ktoś musiał panią uderzyć w głowę, zabrał torebkę i teczkę. Nic pani nie pamięta?

– Czuję się nie najlepiej – szepnęła. Niech pan przyjdzie jutro. Dobrze?

– Dobrze – zgodził się, wstając. – Jeszcze tylko jedno. Czy ma pani w Gdańsku jakąś rodzinę? Trzeba ją przecież zawiadomić o wypadku.

Zaprzeczyła ruchem głowy. Przymknęła oczy, wyraźnie dając mu do zrozumienia, aby sobie poszedł. Oczywiście, była osłabiona po operacji. Ale zasadniczą przyczyną było to, że do następnego dnia chciała obmyśleć odpowiadającą jej wersję wydarzenia. Spojrzał na nią ponownie, ale nie otworzyła oczu. Wyszedł więc i z komendy wysłał radiotelegram do Gdańska, prosząc o wszystkie szczegóły dotyczące Magdaleny Borek, lat dwadzieścia siedem, włosy blond.

*

Obmyśliła dość prawdopodobną historię mającą uzasadnić jej wyprawę do Warszawy. Miała tu daleką krewną ze strony matki, pocziwą staruszkę, którą widywała raz na rok, albo jeszcze rzadziej, ale pisała do niej regularnie na Boże Narodzenie i na imieniny. Babcia Czarnecka mieszkała na ulicy Czerniakowskiej, w pobliżu Powsińskiej.

– Miałam kilka wolnych dni, chciałam więc babcię odwiedzić – powiedziała, spoglądając na Kręglewskiego wzrokiem osoby chorej, lecz rozumiejącej konieczność odpowiadania na nużące pytania. – Przyjechałam z Gdańska wieczorem. Była burza, deszcz. Nie udało mi się złapać taksówki, wsiadłam do autobusu...

– Gdzie? – przerwał.

– Obok dworca. Tam jest przystanek.

– Do jakiego autobusu pani wsiadła?

Opuściła powieki, westchnęła.

– Nie pamiętam. Ale dojechałam nim w okolice Czerniakowskiej. Tam wysiadłam i jedna pani mi powiedziała, że numer trzydzieści sześć jest po drugiej stronie ulicy, kawałek dalej.

– Tam mieszka pani Czarnecka?

– Tak. Przeszłam przez taką kładkę... właściwie mostek nad jezdnią. Strasznie lało i ciągle się błyskało. Bałam się. Wtedy jakiś samochód zatrzymał się przy chodniku. Kierowca zaproponował, że mnie podwiezie. To nie była taksówka. Zgodziłam się, byłam mokra i zmęczona. Usiadłam obok niego. Ruszyliśmy. Spytał, czy nie zmarzłam, i zaproponował gorącą herbatę z termosu. Wypiłam. Teraz dopiero uświadomiłam sobie, że herbata miała jakiś dziwny smak. No i potem już nic nie pamiętam. Przytomność odzyskałam dopiero w szpitalu.

– Jaki to był samochód? Marka, kolor?

– Nie wiem. Chyba Fiat-125p. Ciemny. Nie przyglądałam się.

– A kierowca? Siedziała pani obok, jak wyglądał?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Miał bardzo jasne długie włosy. Był młody. Miał nieduży kartoflowaty nos – zerknęła na twarz kapitana, zamilkła taktownie. – Aha, okulary. Kurtkę, chyba w kratę, i szalik. Bez rękawiczek. Nic więcej nie zauważyłam.

– Jakiś napis, naklejki na tablicy rozdzielczej? Na szybie? Maskotka?

Potrząsnęła przecząco głową.

– A termos? Jakiego był koloru? Jakiej pojemności?

– Biały, litrowy.

– Piła pani wprost z termosu czy z jakiegoś naczynia?

– Z zakrętki, była wielkości małej filiżanki.

– Musieliście się wtedy chyba zatrzymać, bo przecież trudno było prowadzić wóz, odkręcać termos i nalewać herbatę jednocześnie.

– Tak, to było, zanim ruszyliśmy.

– Czy pamięta pani, jak długo jechaliście, nim pani zasnęła, względnie straciła przytomność?

– Może... – wahała się. – Bo ja wiem? Może parę minut.

– Czy jechaliście szybko – dla kapitana ważny był każdy szczegół.

– Nie. Tak normalnie. Nie znam się na tym.

Umilkł. Chwilę pomyślał, posiedział. W końcu podniósł się z krzesła.

– Zawiadomimy tę krewną. Czy wiedziała o pani przyjeździe?

– Nie. Ja nie pisałam. To miała być niespodzianka.

Przerzucił parę stron notatnika.

– Podała mi pani spis przedmiotów które były w torebce. Nie pominęła pani niczego?

– Chyba nie. Mówiłam o parasolce?

– Tak. Torebka z zawartością, teczka pusta... – twarz jego wyrażała zdziwienie.

Przecież jechała pani w odwiedziny na parę dni. Nic pani nie zabierała z rzeczy osobistych? Bielizny, szczotki do zębów?

– Tak, oczywiście – uśmiechnęła się blado. – To było w teczce. Piżama niebieska z jakiegoś sztucznego tworzywa, szczotka, tubka pasty, mydło. Chyba nic więcej. Mój pobyt w Warszawie miał trwać najwięcej trzy dni.

– Czy na piżamie był znak firmowy pralni?

– Nie. Ja bielizny osobistej nie oddaję do pralni, jedynie pościel i ręczniki. Ale ręcznika nie zabierałam. Zaraz, czy powiedziałam panu, że miałam czerwony beret?

Potwierdził ruchem głowy. Czas było kończyć rozmowę. Gdy wrócił do komendy, czekał już tam na niego radiogram z Gdańska. Owszem kobieta o takim nazwisku mieszka pod wskazanym adresem, zajmuje pokój z kuchnią w starym budownictwie. Pracuje w prywatnym warsztacie złotniczym niejakiego Henryka Kapslera jako siła biurowa z pensją trzy tysiące dwieście złotych. W milicji nie notowana, opinia w miejscu zamieszkania dobra. Niezamężna, nie mająca bliższych krewnych. Aktualnie nie ma jej w domu. Do pracodawcy dzielnicowy nie zgłaszał się, bo nie było polecenia służbowego.

Kręglewski przeczytał depeszo z zainteresowaniem. Bądź, co bądź, trochę o Magdalenie Borek już się dowiedział. Napisał notatkę z tego, co mu sama powiedziała w szpitalu, potem zajrzał do pokoju szefa wydziału, pułkownika Daniłowicza. Teraz był w sanatorium i podczas jego nieobecności zastępował go major Szczęsny, pracownik Biura Kryminalnego Komendy Głównej. Szczęsny z Daniłowiczem znali się od wielu lat i mieli do siebie całkowite zaufanie.

Kręglewski był również ich starym znajomym i nieodłącznym towarzyszem w prowadzeniu trudnych spraw kryminalnych, zwłaszcza w sekcji zabójstw. Siadł teraz obok biurka i położył przed Szczęsnym radiogram wraz z notatką. Szczęsny spojrzał swymi wąskimi, czarnymi oczami najpierw na niego, potem na papiery.

– Powiedz, w czym rzecz – zażądał. – Krótko i treściwie.

Kapitan wyjaśnił, a po chwili dodał:

– Powiem ci szczerze, że nie mam do tych informacji za grosz zaufania.

– Informacji z komendy w Gdańsku? – zdziwił się Szczęsny.

– Nie! Do tego, co mi ta babka naopowiadała. To się kupy nie trzyma. Jednego dnia nic nie pamięta, drugiego znów wszystko sobie przypomina, nawet z drobnymi szczegółami... Że facet miał nos jak kartofel. I co on woził w tym termosie? Środek nasenny? Po co? Chyba że wiedział o przyjeździe dziewczyny i czyhał na nią na Czerniakowskiej, akurat tam, gdzie ona wysiadła. Takie rzeczy może opowiadać swojej babci, a nie mnie.

– Czy ta babcia rzeczywiście istnieje?

– Zaraz się dowiemy. Zresztą, to się prawdopodobnie zgadza, tego by nie zmyśliła, ponieważ można to łatwo sprawdzić. Ale cała ta historia z luminalem, to bujda, no nie?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI